№ 31

ROZMAITOŚCI Warszawskie.

NIEDZIELA 19 KWIETNIA. — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — ROKU 1835.

NOC w ZAMKU VINCENNES.

POWIEŚĆ,

wyjęta z niewydanego dotąd dzieła Alfreda Vigny, pod tytułem: DZIENNIK WOJSKOWY.

(Dokończenie.)

XI.

Przebudzenie.

Od godziny już nie spałem. Była czwarta zrana 17go sierpnia; nie zapomnę nigdy dnia tego. Nagle obadwa moje okna razem się otworzyły, i wszystkie potłuczone szyby wyleciały na podłogę ze srebrnawym dźwiękiem, bardzo miłym dla ucha. Otworzyłem oczy i ujrzałem białawy dymek, który zwolna wchodził do pokoju, tysiączne tworząc wieńce. Natychmiast poznałem go po kolorze i woni. Pobiegłem do okna. Dzień zaczynał świtać i bladą jasnością oświecał stary zamek milczący i nieruchomy, jak gdyby osłupiały na pierwszy raz zadany. Nie ujrzałem najmniejszego ruchu, tylko stary grenadyjer postawiony na wieży, i podług zwyczaju na klucz zamknięty, przechadzał się niezmiernie szybko z bronią na ramieniu, spoglądając ciągle od strony dziedzińców. Rzucał się jak lew zamknięty w klatce.

Wszystko jeszcze było milczące; już myśleć zaczynałem, że próba ognistej broni, wykonana na dziedzińcu, przyczyną była tego wstrząśnienia, gdy wybuch głośniejszy dał się słyszyć; ujrzałem nagle powstające słońce, które nie było zwyczajnem słońcem niebieskiem, i wschodziło na ostatniej wieży od strony lasu. Czerwone były jego promienie, każdy kończył się pękającą racą.

Cały ten obraz okolony był mgłą prochową. Tym razem baszt, koszary, wieże, okopy, wioska i las zadrżały, i zdawały się przesuwać z prawej na lewo, a potem wracać, jak szuflada otwarta i natychmiast zamknięta. Pojąłem w tej chwili, co jest trzęsienie ziemi. Brzęk podobny, jakiby uczyniły wszystkie sewrskie porcelany upadając razem, dał mi poznać najdokładniej, iż ze wszystkich okien kaplicy, zamku, koszar i miasteczka, ani jeden kawałek szkła przy kicie nie pozostał. Dym biały rozproszył się w małe wienieczki.

— Proch jest wyśmienity, gdy robi podobne wieńce, rzekł Timoleon, wchodząc ubrany i uzbrojony do mego pokoju.

— Zdaje mi się, że będziemy w powietrze wysadzeni.

— I ja temu nie przeczę, odpowiedział obojętnie. Na teraz nie ma co robić.

W trzech minutach byłem podobnież jak on ubrany i uzbrojony; w milczeniu patrzyliśmy na milczący zamek.

Raptem dwadzieścia bębnów uderzyło alarm. Mury wychodziły z osłupienia i nieczułości, przywolując ratunku. Zabrzękły ciężkie łańcuchy zwodzonego mostu i zwolna opadł na drugi brzeg rowu, aby wpuścić oficerów, a ułatwić ucieczkę mieszkańcom. Pobiegliśmy do bramy: otwierała się na przyjęcie dzielnych, a odrzucenie słabych.

Nadzwyczajny uderzył nas widok. Wszystkie kobiety cisnęły się w bramę, a zarazem i wszystkie konie załogi. Nieomylnym instyktem wiedzione, pozrywały cugle w stajniach, i parskając, czekały,

póki im nie otworzą wyjścia na wolne pole. Biegały po dziedzińcach śród tłumu niewiast, rżąc przeraźliwie, z najeżoną grzywą, roztwartemi nozdrzami i iskrzącem okiem, wspinając się na mury, wietrząc proch ze zgrozą i zakopując nozdrza w piasku.

Młoda i piękna panienka, owinięta prześcieradłem, a za nią matka jej na wpół ubrana, którą niósł żołnierz, wyszły najpierwsze, a za niemi tłum się sypnął. W tej chwili wydawało mi się to nie potrzebną zupełnie ostróżnością; ziemia bowiem na sześć mil w około nie była pewną.

Wpadliśmy do zamku wraz z wszystkimi oficerami, którzy mieszkali w miasteczku.

Najpierwsza rzecz, co mnie uderzyła, była-to spokojna postawa naszych starych grenadyjerów, stojących na odwachu. Z bronią do nogi, patrzyli jak znawcy, ku stronie prochowni, nie mówiąc ani słowa. Dowodził nimi przyjaciel mój, Ernest d'Hanache. Przywitał mnie uśmiechem *à la Henri IV*, który mu był właściwy; podałem mu rękę. Miał dopiero stracić życie w Wandei, gdzie w chlubnym poległ zgonie. Wszyscy, których wzmiankuję w tych niedawnych wspomnieniach, już pomarli.

Biegnąc, potknąłem się o coś i o mało nie upadłem: była-to noga ludzka. Nie mógłem się wstrzymać, aby nie stanąć i przypatrzyć się jej.

— Tak właśnie i twoja noga będzie za chwilę, rzekł do mnie przechodzący oficer, śmiejąc się serdecznie.

Nic nie wskazywało, aby ta noga nosiła kiedykolwiek obuwie. Wyglądała, jak gdyby ubalsamowana w sposób mumii; oderwaną była o dwa cale po nad kostką, jak nogi służące za wzór w pracowniach rzeźbiarskich, gładka, żyłkowana jak marmur czarny, jedne tylko paznokcie mając koloru różowego. Nie miałem czasu jej odrysować, biegłem dalej, aż na ostatni dziedziniec przed koszary.

Tam czekali na nas żołnierze. W pierwszym przestrachu mniemali, że przypuszczono attak do zamku; rzucili się do oręża, i uszykowali się na dziedzińcu, w koszulach, boso, z karabinem na ramieniu. Prawie wszyscy mieli zakrwawione i pokaleczone szkłem nogi. Niemi i nieruchomi stali w obec nieprzyjaciela, który nie należał do rodzaju ludzkiego, i z radością ujrzeli nadchodzących oficerów.

Co do nas, my poskoczyliśmy do krateru samegoż wulkanu. Dymił jeszcze i trzecim groził wybuchem.

Mała wieża prochowni była rozpadnięta, a przez rozwarte jej boki wychodził z wolna dym kłębami. Spalonyż był wszystek proch wieżyczki? pozostałoż go jeszcze tyle, że nas wysadzić zdoła? O to było pytanie. Lecz była inna niezawodna pewność, to jest, że wszystkie jaszczyki, naładowane i otwarte w poblizkim dziedzińcu, wylecą w powietrze, jeżli choć iskra do nich się dostanie, i że baszt, mieszczący czterykroć sto tysięcy funtów prochu, zamek Vincennes, jego lasek, miasteczko, pola i część przedmieścia Świętego Antoniego, wysadzone, podrzucą razem w powietrze kamienie, drzewa, ziemię, dachy i głowy ludzkie, choćby najbardziej przytwierdzone.

Najlepszym posiłkiem, jaki mieć może karność, jest niebezpieczeństwo. Gdy wszyscy zarówno są narażeni, milczą i idą za popędem pierwszego, co wyda rozkaz lub przykład zbawienny.

Timoleon najpierwszy poskoczył do jaszczyków. Powaga i powściągliwość nie opuściły jego twarzy; a jednak z szybkością, która mnie zadziwiła, rzucił się na koło już zapalić się mające. W braku wody, ugasił je przyduszając suknią, rękami, piersiami. Mieliśmy go zrazu za zgubionego. Lecz dopomagając mu, znaleźliśmy koło oczerniałe i zgaszone, suknie jego spalone, rękę nieco osmaloną prochem, zresztą całą osobę nienaruszoną i spokojną. W jednym momencie wszystkie jaszczyki wytoczone zostały z niebezpiecznego dziedzińca i wyprowadzone z warowni w obwód poligonu. Każdy kanonijer, każdy żołnierz, każdy oficer przyprzęgał się, ciągnął, pchał straszliwe wozy rękami, nogami, ramionami i czołem.

Sikawki zalały prochownię przez czarny otwór jej piersi; potrzaskana była na wszystkie strony; zakołysała się po dwakroć i w tył i w przód, potem rozwarła swe boki, jakby korę ogromnego drzewa, a runąwszy, odsłoniła czarne i dymiące czeluście, w których nic właściwego nie zachowało kształtu; bronie, amunicyje rozsypały się w proch czerwonawo-szary, rozmącony kipiącą wodą: rodzaj lawy, w której krew, żelazo, ołów w jedną zmięszały się masę i spłynęły na dziedziniec, wypalając trawę w swym przechodzie.

Był-to koniec niebezpieczeństwa. Pozostało teraz rozpoznać się i policzyć.

— Musiano to słyszeć aż w Paryżu, rzekł Timoleon, ściskając mnie za rękę; biegnę napisać do niej, aby ją uspokoić. Nie ma tutaj już co robić.

Nie rzekł więcej słowa do nikogo, i wrócił do naszego białego domku o zielonych żaluzyjach, jak gdyby przybywał z polowania.

XII.

Rysunek ołówkiem.

Gdy nieszczęście przeminię, zastanawiamy się nad niem i uznajemy wielkiem. Dziwimy się, żeśmy szczęśliwie uszli, i bledniejemy przestrachem, który mogliśmy okazać; cieszymy się, żeśmy nie ulegli żadnej słabości, i przejmuje nas wyrachowana i zimna zgroza, o której nie pomyśleliśmy nawet w chwili działania.

Proch, podobnie jak piorun, czyni niewyrachowane cuda.

Wybuch poczynił dziwy, nie siły, lecz zręczności. Zdawało się, iż wymierzył swe razy i cel sobie obrał. Zrobił sobie z nas igraszkę i powiedział: Uniosę tamtych, a nie tych, co są tuż przy mnie. Wyrwał z ziemi kamienną arkadę i posłał ją w całej zupełności kształtu, aby zaległa murawę oddalonego błonia, jak zwalisko ręką czasu oczernione. Wbił trzy bomby na sześć stóp pod ziemię, podruzgotał bruk pod kupami kul, rozdarł na dwoje spiżową armatę, powyrywał we wszystkich mieszkaniach drzwi i okna, pozanosił na dachy okiennice wielkiego prochowego basztu, nie naruszywszy ani ziarnka prochu; potoczył dziesięć ogromnych słupów kamiennych, jak piony przewróconej szachownicy; porozrywał spajające je łańcuchy, jak nitki jedwabiu, i skręcił ich ogniwa, jak przędzę konopną; poorał dziedzińce rozdruzgotanemi lawetami, wężłobił w kamienie piramidy kul, a pod armatą najbliższą rozburzonej wieży zostawił przy życiu kurę białą, której przyglądaliśmy się wczoraj. Gdy biedna kura wyszła spokojnie ze swego gniazda z pisklętami, poczciwi nasi żołnierze przyjęli ją okrzykiem radości, jako dawną znajomość, i zaczęli się z nią bawić jak dzieci.

Kręciła się w kółko, kwocząc i gromadząc pisklęta; miała jeszczę kitkę czerwoną i srebrny naszyjnik. Zdawała się szukać pana, który jeść jej dawał; biegała pomieszana około nóg naszych. Idąc za nią, okropny ujrzeliśmy widok:

U stóp kaplicy leżały głowa i piersi biednego Adjutanta, bez ciała i rąk. Noga, którą potrąciłem wchodząc, do niego należała. Nieszczęśliwy, nie zdołał się zapewne oprzeć chęci zwiedzenia raz jeszcze swych baryłek i ładunków, a bądź podkówki jego butów, bądź inna jakowa przyczyna, dały powód zapalenia.

Jak kamień rzucony z procy, głowa jego ciśnięta została na mur kościelny, o sześćdziesiąt stóp wysokości, a proch, którym przerażające to popiersie było przejęte, wyrył kształt jego w niezagładzonych rysach na murze, pod którym spadł na ziemię. Długo przyglądaliśmy się jemu, a nikt nie odezwał się z wyrazem litości, może dla tego, iż ubolewać nad nim, byłoby to litować się nad samym sobą, bywszy na toż samo niebezpieczeństwo narażonym. Chirurg tylko rzekł: On nie cierpiał bynajmniej.

A mnie się zdawało, że jeszcze cierpi; pomimo tego, na wpół przez niezwyciężoną ciekawość, na wpół przez junactwo żołnierskie, odrysowałem go.

Tak zwykle dzieje się w towarzystwie, z którego czułość jest wygnaną. Może jest to złą stroną rzemiosła wojennego, ów zbytek mocy, do którego bezustannie charakter nasz wznieść usiłujemy. Staramy się zatwardzić serca, ukrywamy litość z obawy, aby nie stała się podobną do słabości; silimy się potłumić boskie uczucie miłosierdzia, nie pomyślawszy, iż chcąc ściśle zamknąć więźnia, zupełnie mu życie odbieramy.

Czułem się w tej chwili niezmiernie pogardy godnym. Młode moje serce rozdęte było żalem, jaki mi śmierć ta sprawiła; niemniej dla tego z uporczywą spokojnością kończyłem rysunek, który zachowałem dotąd, który budzi we mnie zgryzotę, żem go śmiał zrobić, a niekiedy przypomina mi opowiadanie, którego wam udzieliłem, i skromne życie owego walecznego żołnierza.

Ślachetna ta głowa stała się teraz przedmiotem zgrozy, prawdziwą głową Meduzy: przybrała zupełnie barwę czarnego marmuru. Włosy były najeżone, oczy zamknięte, usta otwarte, jakby wielki krzyk wydawały. Widocznie wyryty był na owem czarnem popiersiu przestrach nagłych płomieni wynikających z ziemi. Czułem, iż pozostał

mu czas do przestrachu, również jak proch szybkiego, a może i czas do niewysłowionego cierpienia.

— Miałże czas pomyśleć o Opatrzności? rzekł do mnie spokojny głos Timoleona, który patrzał mi przez ramię, jak rysowałem.

W tej chwili wesoły żołnierz, świeży, rumiany, blondyn, schylił się i zdjął z okropnego torsu czarny jedwabny halsztuch.

— Jeszcze zupełnie dobry, rzekł.

Był-to poczciwy chłopak z mojej kompanii, który miał dwa szewrony na ramieniu, a najmniejszych skrupułów, ani melancholii. To przerwało ciąg naszych myśli.

Wielki tentent koni sprawił nam wkrótce większe roztargnienie. Był-to Król. Ludwik XVIII przybywał podziękować swej gwardyi, że mu zachowała starych jego żołnierzy i stary jego zamek. Długo przypatrywał się dziwnej litografii muru. Całe wojsko stanęło w szeregach. Król podniósł swój mocny i dźwięczny głos, pytając dowódcy, którzy oficerowie lub żołnierze odznaczyli się.

— Każdy wypełnił swój obowiązek, Najjaśniejszy Panie, — po prostu odpowiedział Pan de Fontanges, tchnący duchem dawnego rycerstwa i najprzyjemniejszy z oficerów, których znałem; jedyny człowiek, który dał mi wyobrażenie, czem mogli bydź Lauzonowie i Grammonty.

Król więc, zamiast krzyżów honorowych, wydobyć kazał z powozu ładunki złota, aby je rozdano pomiędzy żołnierzy, i odjechał bramą wychodzącą do lasku.

Zapomniano o wybuchu, nikt nie pomyślał gniewać się i mniemać, że więcej od innych uczynił.

AMATOR WIDOKÓW.

(z Hoffmana.)

Podczas mego pobytu w Bewergen, przechadzając się pewnego wieczora w lasku nie zbyt odległym od miasta, postrzegłem kilkunastu wieśniaków, zajętych robieniem wyrębu i podpiłowywaniem pniów ogromnych drzew. Spytałem, czy chciano otworzyć nowy gościniec w tem miejscu. Spojrzawszy po sobie, śmiejąc się, rzekli, abym szedł nieco dalej i spytał o to pewnego jegomości, którego zobaczę stojącego na małym wzgórku wprost lasu. W istocie; gdym uszedł kilkadziesiąt kroków, spotkałem nizkiego staruszka z twarzą wybladłą, w podróżnej kapocie i z torbą na plecach. W ręku trzymał perspektywę, skierowaną ku miejscu, w którem zostawiłem wieśniaków. Posłyszawszy, żem się zbliżał, opuścił perspektywę i rzekł do mnie z żywością: »WPan przybywasz z lasu, powiedzże mi, jak daleko zaszła robota?« Opowiedziałem com widział. »Wyśmienicie, rzekł, wyśmienicie. Od trzeciej z rana (mogła być w ówczas szósta z wieczora) wartuję tutaj, i zaczynam się lękać, aby te gawrony przez swą opieszałość wszystkiego mi nie popsuli. Teraz, Bogu dzięki, mam nadzieję, że widok otworzy się w przyzwoitej chwili.« I znowu wziął perspektywę, skierował ją ku lasowi, i patrzał z jak największą uwagą.

W kilka minut później znaczna część lasu powaliła się nagle, i widok otworzył się jak przez czary jakowe. Postrzegłem z daleka wspaniały amfiteatr gór, a w pośrodku zwaliska starego zamku, oświecone ostatniemi promieniami zachodzącego słońca. Był-to widok prawdziwie zachwycający.

Staruszek przez kwadrans blizko stał na jednem miejscu, cały pogrążony w patrzeniu, i zadowolenie swoje wyrażał tylko dziwacznemi krzyki i ciągłem tupaniem. Gdy słońce zupełnie zaszło, zsunął perspektywę, włożył ją do torby, i nie pokłoniwszy mi się, nie rzekłszy ani słowa, bynajmniej na mnie nie zważając, uciekł najspieszniej.

Dowiedziałem się później, że tym osobliwszym oryginałem był Baron Reinsberg. Podobnie jak sławny Baron Grothus, podróżował ciągle pieszo i przepędzał całe życie na wyszukiwaniu pięknych widoków, z zapałem, zbliżającym się prawie do szaleństwa. Gdy przybędzie do jakiego miejsca, gdzie dla zjednania sobie malowniczego widoku, trzeba zrównać pagórek, wyciąć las, zburzyć kilka domów, nie zastrasza go żaden koszt, żadna przeszkoda, używa natychmiast swego złota i wymowy na zniewolenie właścicieli i wszelkiego rodzaju robotników, jako-to: mularzy, rębaczy, górników i t. p. Powiadają, że przyszło mu raz do głowy, spalić nowiuteńki ogromny folwark w Tyrolu; wielką miano trudność w odwiedzeniu go od tego zamiaru. Nigdy nie widziano, ażeby dwa razy tenże sam kraj przebiegał.
